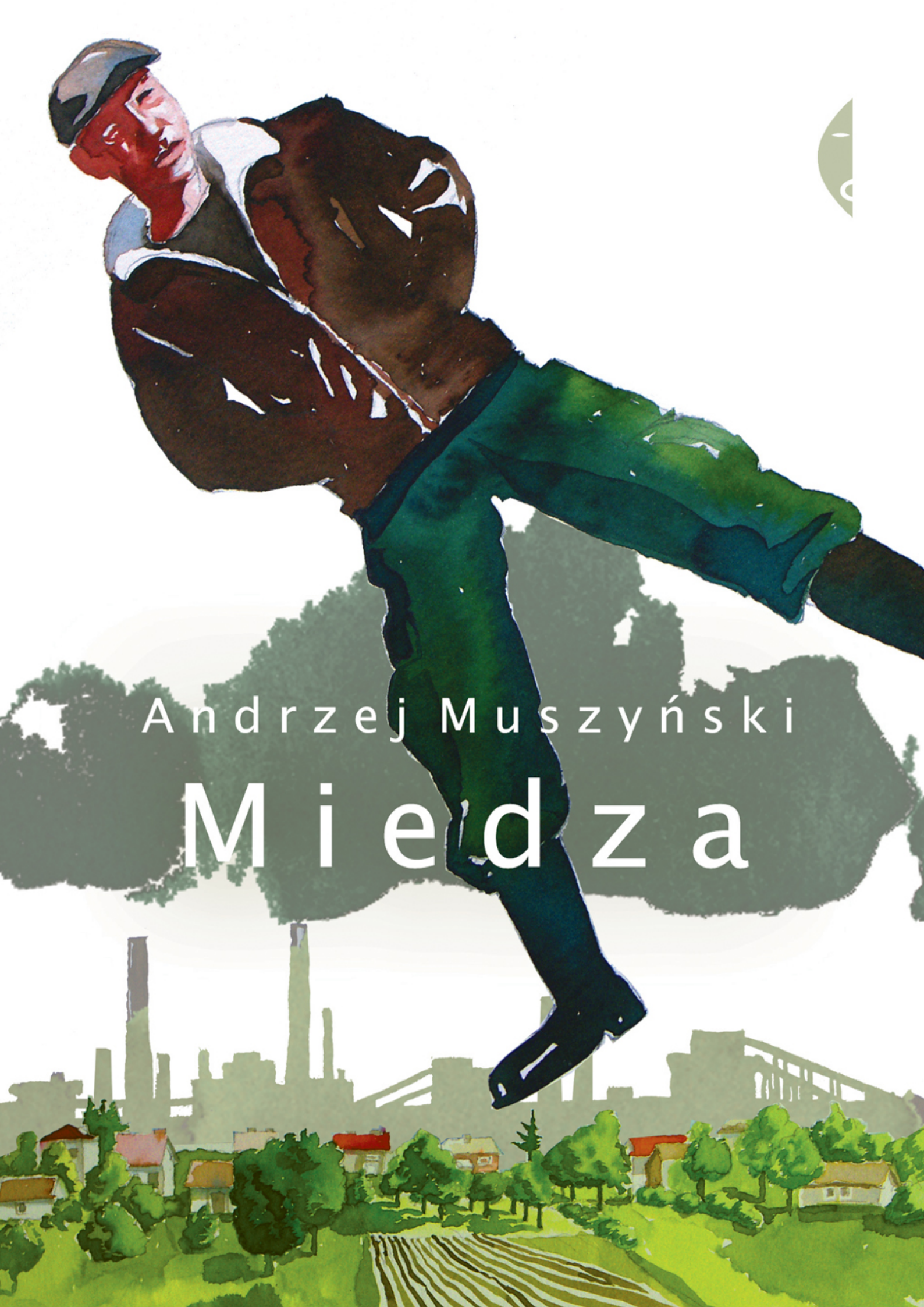

Andrzej Muszyński

Miedza

Cep

To już nie siąpiło, lało. Fastryga deszczu rozbijała się o rozwieszoną nad wiatą czarną plandekę, zbierała się w wartki ciurek, który płynął w dół wygniecionym rowkiem i słusznym, rozpędzonym strugiem wybijał się w powietrze, po czym lutował z impetem w rdzawe strupy maski ursusa i rykoszetem wpadał do zbutwiałego wiadra na śliwkowy susz. Poturbowane krople, kap, kap, przez dziurkę w denku spadały mu na czoło. Ale spokojnie, nie tak prędko. Nie tutaj. Tu jest zasada: nie masz czasu, wyjdź.

Bo zaropiał nas ten deszcz i zaszczuł, bo choć to nie siąpiło już, a lało, po prawdzie na uśpienie. Spowszedniał nam i dzwonił se, jak chciał. A on stał pod wiatą, sam. Okutany w dziurawą kufajkę z podszewką, wyglądał jak kolejny grat. Krople spadały mu na czoło, ale ich nie ścierał. Przyzwyczaił się i do tego. Pamiętał, że bywało gorzej. Tak. Deszcz był do przyjęcia. Dzwonił o framugi okien, obłości świńskich koryt. Wypełnił po brzegi beczkę na deszczówkę. Pod stopami płynęła rzeka z tratwami kaczych gówien.

– Cza czekać, czekać cza – mówił, stercząc pod wiatą, oparty o krajzegę. Kiwał palcem w filcowym bucie. Może i tak.

Deszcz spływał po kracie cynobrowego płotu, spływał po drutach klatek dla królików, nie kapał, a dosłownie spływał, rozwieszając się między prętami w matowe, ciekłe zwierciadło. Potem dzień się zapadał pod ziemię, by noc suczyła się i rzygała ciężkim strugiem. A potem wstawał dzień, ale nie było szpeca, co by określił kiedy. Rzeką przez wieś płynęły odgryzione uszy. Nocą to wyłaziło, wypełzało. Oczadziała od tych deszczów gadzina. A on sterczał, wpatrzony w deszcz, oparty o krajzegę. Oblepiły go trociny. Zapalił łysą żarówkę, oblepioną zaschłymi gównami czegoś, co potrafiło wysrać się pod sufitem. Roje much by koło tego normalnie świdrowały, sztachnięte ostrym cuchem, ale teraz lało. Słońca zapomnieliśmy. Wszystko spało. Tylko on nie.

Mało mówił, mało myślał, coś robił. Stał i cuchnął pod wiatą. Jak Noe. Oto dzieje jego.

Ale spokojnie, nie tak prędko, nie masz czasu, wyjdź, twoja sprawa. Bo on taki był, pamiętam. Grzebał w kroku i pomstował na świat, żeby go zalała czerwona krew.

– Gdzie idziesz?! – darła się na niego babka, jak jeszcze żyła.

– Do siebie idę – mówił i szedł do chlewa.

Chwytał za widły i pot lał się po spalonym, wygarbowanym karku. Nie palił, mało pił, choć rok w rok pędził bimber. Mała fabryka. W piwnicy odcedzał gęsty fuzel. W pojedynkę ciągnął za dyszel przez drogę wóz siana. Osiemdziesiąt trzy lata. Na chropowatej, kamiennej półce stodoły stał umazany gnojem jamnik i smęcił coś w imię Pana.

O Panie Boże Wszechmogący, o Matko Najświętsza, Chrystusie Nazarejski, on wrósł w tę karawelę jak mech w stodołę. Rozkopywał pstrokaty przodek szajsu, klął pod nosem i w powietrze leciały stosy siana, klocki słomy i prawe buty. Lewe sznury, farba esso i fabryki niechcianych gwoździ. Smród benzyny, zespawane kanistry i cepy po bauerze. Rozprute wory, popsute pługi. Poprawiał wszystko, doglądał, upychał, żeby nic nie zginęło. Bo wszystko kiedyś się przyda. Bo chwila jest blisko. Na horyzoncie zaczernieje wielka fala, a my, przerażone szczyle z dwiema lewymi rękami, wciśniemy się do jego arki jak pryszczate chamy. O domie zmurszały, o arko zapajęczona. Między świdrami a królikami. Smołą a zaschłym wapnem. Śmierdzącymi portkami a karbidówką pekape. Na wsi podłączali internet dwajścia mega, a on wychodził ze stodoły z motyką. Bo taki był. Śpieszyło mu się tylko w pole. Świt, zmierzch, może lato, w nadprożu stodoły wirowały plewy. A on stał, opukiwał burty, zatykał dziury. Wygięty w plecach jak cep łypał przez szparę w murze, odcedzając spienione mleko. A tam w oddali, za wypindrzonym żywopłotem siedzieli oni, w secesyjnej altanie. Wyzwolony z pańszczyzny lud bajał o *all inclusive* nad Morzem Czerwonym. Jeździł do Tunezji i Zabarbaru. Tuje i

glajcowane krasnale, brukowa kostka i teraz są inne czasy. Tak, o tym marzyli, tego chcieli. Żeby zapełnić tą kostką ostatnie trawy, ugory, ostatnie ary. Żeby zapomnieć o tych wiekach w rzadkim gównie. Żeby nie było po nim śladu, po ziemi, po krwawicy. Żeby już nikomu nie przyszło to do głowy. Wycinać stare sady, a sadzić w doniczkach tuje. Święcić autowozy, opijać, Maniek, na stole wyłożone! Nie mieli czasu na robotę, zarobieni. To kradli mu z pola pietruszkę, ziemniaki. Sałatę. A on stał w stodole, wypatrując potopu. Marzył o nim. Zmierzch czy świt, może lato. Siedzieli w altanie i pili carlo rossi. Nad ich głową wirowały trefne plewy.

A on szeptał:

– I róbcie tak dalej - i szedł w pole.

Tak to se wymyślił. Tak się zaparł w sobie. Siew i orka, gadania niewiele. Zgrzytająca arko, pobrużdżona wiato. Pudła i pestki. Chrust i orzechy. Jajka i łożyska. Deski i podpórki. Zicherki i piaskarki. Jaskółcze gniazda i ruskie krany. Obcążki i spawarki. Padnie gospodarka, wysiądą komputery, zgaśnie ostatnie światło, a on będzie gwizdał na wszystko i robił żniwa. Odpalał o świcie traktor. Pukh, pukh pukh, pukh, pukh., i będzie jeździł nim wte i wewte po tłustym pasku czarnej ziemi, którą okalają już tylko same ugory i piołuny. Jak się skończy ropa, weźmie konia. Ostatnie takie pole, ostatni taki on. Przesuwał się po wygiętym do nieba łuku ziemi, a oni czekali aż zdechnie i jego ostatnie pole porośnie perz. A potem wyłożą je baumą i zasadzą tuje. Idiota, stary głupiec, nie te czasy.

Ale on nie umrze. Tak to sobie zaplanował i tak mu się to widzi. Będzie żył jak Noe – dziewińcet pińdziesiąt lat. O tym marzy, wysiąść z arki i zacząć wszystko od nowa. Nauczyć się nazad życia i cierpliwości. Przewiezie se nią choinki i bombki, jedną szopkę, i święcone palmy, diabły z wosku i paru kolędników, święcone ziele i połaźniki, kukłę marzanny i pucheroki, gniazdo bocianie i parę cyraneczek, kosz na Wielkanoc i skrzynkę gruszkówki, dożynkowy wieniec i krzyż spod rozstaju, znicze na zaduszki i wosk na

Andrzeja, ciepły chleb i mąkę na zapas, jednego konia i ze dwie kozy, drewna na chałupę i kury na jajka, piec do palenia i czas, czasu se upcha, upcha pół stodoły.

I jeszcze króliki, króle weźmie. Nastrugał pół wiaty klatek, nakupił gadziny. Wraca o zmierzchu z pola, odpala obsraną żarówkę i z nimi siedzi. I ciągle mu mało. Głaska je po głowach i robi im przeprowadzki. Przemeblowania i remonty. Żreć im daje. Stodołę wypełnia ich wspólna para. On, Noe, osiemdziesiąt trzy lata.

O dziadku złoty, arko zagraciała, popaprana rebelio. But w cemencie i wiadro fasoli, grzebień koguta i poryta węglarka, poklejone kable, słoje po miodzie i chrystusowe wieńce, płytki pilśniowe i zapasowe gwinty. Kołatało się tam w stodole do nocy, do późna. Kury już spały. Tylko chlew tlił się jeszcze rzadkim ciepłem. Łańcuch kozy obijał się o ścianę. Chrapało coś, charlało. Kwik gumioków o deskę w gnoju. Z chlewa płynęła mleczna para i skraplała się na pierwszych mrozach. A potem zgasło światło. Pies wył. I słychać jeszcze tylko było w ciemnicy szuranie butów, wracał.

Zimą siedział w domu. Miska z ciepłymi mydlinami, tyk, tyk. To budzik. Tykał. Naftówka, odłączyli mu prąd. Pogłos dłoni wędrującej przez brudną wodę. Fabrykę będą budować, gdzieś za domami. Coś tak mówili. Krzyż na ścianie. Skórzany serdok. Że pola ludzie chcą sprzedać i że on też musi. Szklanka ćwierć litra, zacieki. Bo jakieś zyski, bo udziały. Ciepłe mleko. Niemiecka fabryka kulek – powtarzali. Emaliowany czerwony kubek. Wójtowe ulgi dla inwestorów. A w polu on tylko jeszcze robi. Przeszkadza. Bo fabryka stanie, jak wszyscy opchną pola. Tylko on, zawada. Jak nie sprzeda, to go zamłócą cepami.

A śpij se dziadku złoty, śpij. Nie słuchaj ich. Już teraz wszystko ganc pomada. W popróchniałej łupinie pod dębem na czerwonym morzu bruku. Śpij, bo i ziemia śpi teraz. Tylko ona cię nie zdradzi. Będzie jak chcesz: Bóg dojrzy i

ich zatopi. A ty se popłyniesz dalej. Módl się za nami w tej swojej izbie, na tym twoim ganku i powiewie sieni. Na klęczkach wystawiaj se z papci pięty popękane jak wczorajsze bochny chleba. Zielona cembrowina. Pies. Przywleczona słoma. Bukowy chłód. Szadź na blasze, suszone grzyby. Seledyn popękanej ściany i makowate kwiatki. Na piecu zakalec, tyk, tyk, tyk. To budzik. Tyka.

Pamiętam. Bo przyszła potem wiosna. Zimno. Lało, tyle że wiosennie. Jadł śniadanie, czarny chleb i mleko z kożuchem. Na szybie osiadła biała para. Przetarł ją ścierką. Szurał łapciami po drewnianej podłodze, w kalesonach. Lecz zaraz potem stał w arce oparty o krajzegę. Kury krążyły po łajnie, wydziobując spuchnięte krążki skóry od cytryny. Założył myckę, Noe. Splunął w dłonie. I spojrzał w sad. Mgła kleiła się do pniaków jak wapno. A górą coś szarpało, rwało, rozrywało chmury, wiało. I na chwilę, przez chwilę widzieliśmy blade słońca, skrawek nieba. I widzę, że się zbiera, to mu mówię:

– Nie idź, leje.

Bo to nie siąpiło raczej, a lało. Lało, ale tak po prawdzie, na uśpienie. A on się gdzieś wybiera. Siać już idzie? Zgłupiał? O pniak otrzepał buty z trocin i mówi:

– Leje, jak leje. Ale jest dobrze do robienia.

Przesunął wyziębłą furtkę, która ugrzęzła w błocie.

Szepcze:

– I róbcie tak dalej…

I idzie przez sad, na tę swoją ziemię.

I teraz trzeba by zakończyć, opowiedzieć, jak zniknął we mgle, jak pod trepami trzaskała drętwa ziemia, jak dzwoni ten deszcz, a psy szukają swego echa, lecz kulą zmarzłe uszy i lezą na łańcuchu do zapchlonych bud.

2011–2012